№ 11

ROZMAITOSCI WARSZAWSKIE

PISMO DODATKOWE
DO GAZETY KORRESPONDENTA WARSZAWSKIEGO.

We Srodę dnia 24 *MARCA.*

JUTRO Z POWODU UROCZYSTEGO SWIĘTA GAZETA NIE WYIDZIE

I.

SMIERĆ DZIKIEGO AMERYKANINA.

Opuściłem Nowy Orlean przy końcu Maia, w zamiarze udania się lądem do Sarannah. Nie znałem trudów podróży i niebezpieczeństw, na iakie w niey wystawiony byłem, wszystko atoli, co o tym kraiu czytałem i słyszałem, podniecało moią ciekawość tak dalece, że dla zaspokoienia iey, byłbym się na większe ieszcze naraził niebezpieczeństwa. Po dwóch tygodniach moiey podróży przybyłem wieczorem do dzikiego parowu znanego pod imieniem *Doliny morderstw.* Powodem do tego nazwania było zamordowanie trzydziestu przeszło *białych*, obozuiących tu w nocy, przez Indyanów, którzy nie przepuszczaiąc niewiastom i dzieciom, wszystkich okropnym pomordowali sposobem. We dnie miałem podróż dosyć utrudzaiącą; natrafiałem bowiem często na bagna, z których, koń móy zaledwie wydobyć się zdołał; prócz tego przemokłem od deszczu i do tego stopnia znużony byłem tą kilkunastu dniową podróżą, że nie mogąc iuż dnia tego w dalszą puszczać się drogę, postanowiłem w tem okrzyczanem przenocować mieyscu. Przywiązawszy konia do drzewa i dawszy mu ieść wziętego z sobą obroku, rozpaliłem wielki ogień i zabrałem się do wieczerzy. Jedząc ią z apetytem zgłodniałego podróżnego, a zarazem dziwiąc się magicznemu światłu, które wydawały otaczaiące mnie wokoło świecące robaczki, nagle obił się o ucho moie szelest grzechotnika. Powstałem natychmiast, a uyrzawszy, że niebezpieczne to zwierzę zbliża się do mnie, uderzyłem ie tak mocno kiiem, który właśnie w ręku trzymałem, że w iedney chwili życia pozbawione zostało. Wąż ten był naymniey siedm stóp długi, a ogon, który uciąłem, składał się z dwudziestu pierścieni. Skończywszy wieczerzę i przyłożywszy na ogień tyle drzewa, aby się przez całą noc palić mogło, przy-

sposobiłem sobie łoże pod wielkiemi drzewami, i spodziewałem się w krótce zasnąć. W uroczystey iednak ciszy znaydowało się coś tak wzniosłego, że wyobraźnia moia długo ieszcze tem zaięta była; nadto nie mogłem oddalić od siebie wspomnienia okropnego morderstwa, które tey dolinie nazwisko dało, poznawszy o kilka kroków od siebie mieysce, gdzie to morderstwo wykonane zostało. Otaczaiąca mię w około samotność, nabawiała duszę moią nieznaną mi ieszczę trwogą.

Zwolna wszakże uspokoiłem się nieco, a sen zamykał iuż me powieki, gdy nagle usłyszałem za sobą w krzakach, które mnie ze wszech stron otaczały, lekki szmer. Obróciłem cokolwiek głowę, a pod temi samemi drzewami, które nie dawno przedtem tak smutnych rozmyślań były powodem, uyrzałem siedzącego Indyanina, który w milczeniu bystrem na mnie spoglądał wzrokiem. Ponieważ się wcale nie poruszałem, nie mógł więc tego dostrzedz, że ieszcze nie spałem. Przypatrywałem mu się pilnie. Zdawał się bydź wysoki i rubaśny, a w postawie iego była ta powaga i wdzięk, który się często u tych mieszkańców spostrzegać daie. Odzienie iego składało się z pewnego rodzaiu tuniki z czerwoney i niebieskiey bawełnianey materyi. Szyia iego okryta była wielu srebrnemi ozdobami, z których kilka miało kształt półksiężyca. Na nogach miał *mokassiny* (sandały indyiskie) ze skóry daniela, a na głowie zawóy z białego kartunu z czarnem piórem. Kołczan napełniony strzałami, łuk i strzelba, składały całe iego uzbroienie. Wszystko mogłem bardzo dobrze uważać, bo oświecony był doskonale światłem księżyca. Jego iskrzące się, zawsze ku mnie zwrócone oczy, sprawiały we mnie pewien rodzay zachwycenia, tak że zaledwie oddychać mogłem. Zmysły mi się pomięszały, zdawało mi się, że to sen, a milczącego tego rycerza miałem tylko za skutek rozognioney moiey wyobraźni. W tym stanie zostawałem blisko godzinę, a choćby naymnieysze poruszenie znayduiącego się przedemną widma, nie przekonywało mię o rzeczywistości istnienia iego.

Znużony iednakże, zamknąłem nakoniec oczy, a gdym ie znów po niejakim czasie otworzył, znikła iuż ta postać. Nie wątpiłem więc iuż wcale, że wszystko to, co dotąd widziałem było płodem rozognioney moiey wyobraźni. Utrudzenie moie było tak wielkie, że mię natychmiast głęboki sen ogarnął. Nie wiem iak długo spałem, ale przebudziwszy się, gasł iuż ogień, a księżyc zaćmiły czarne chmury, przepowiadaiące burzę gwałtowną.

Pierwszym przedmiotem, który przy gasnącem świetle ognia spostrzegłem, był Indyanin, któregom dawniey widział. Znaydował się na tem samem mieyscu i w teyże postawie. Na widok iego zimny dreszcz mnie przeiął, pochwyciłem natychmiast pistolet, co on spostrzegłszy, wolnym ku mnie zbliżać się począł krokiem. Wymierzywszy pistolet, postąpiłem naprzeciw niemu, lecz nim wystrzelić zdołałem, tak mocno mię w ramię uderzył, że mi z rąk wypadł. Poczem rzucił mię o ziemię i za gardło pochwycił. Wzrok móy i poruszenia o-

znaczały podległość i błaganie o łaskę. Przez kilka chwil namyślał się, co ze mną ma zrobić, wzrok iego wskróś mię przeniknął, milczenie nawet iego miało w sobie coś grożącego. Zwolna iednakże uczułem, że ręka iego nie tak mocno mię przyciskała. Pochwycił móy drugi pistolet, wystrzelił w powietrze, a przekonawszy się, że iuż żadney inney nię mam broni, oddalił się odemnie; po kilku chwilach zamyślenia się przystąpił do ognia, zapalił swą fajkę, pociągnął kilka razy, a potem mi ią podał. Ztąd wnierazdziałem, że nie mam się iuż czego obawiać, ponieważ mi ofiarował znak pokoiu. Podobnego zakładu nigdy Jndyanin nie nadwerężу.

Dotąd nie przemówiliśmy do siebie ani iednego słowa. Mowa Jndyanów nie była mi ieszcze znaiomą, usiłowałem więc wymyślić sposób, za pomocą którego porozumieć byśmy się mogli, gdy nagle z wielkiem moiem zadziwieniem przemówił do mnie po angielsku: Zbliża się burza, opuśćmy to mieysce; póydź za mną: — Ty mówisz moim ięzykiem? — zawołałem zdziwiony. — Tak iest — odpowiedział, — ale póydź za mną. — Dokąd? — Nie odpowiedział ani słowa, postąpił kilka kroków, i stanął, czekaiąc na mnie. Wsiadłem więc bez namysłu na koń, i iechałem za nim wąską ścieszką, która sią przez gęsty las ciągnęła. Powietrze było tak mgliste, że co chwila utracałem z oczu przewodnika moiego. Zdawał się bydź niecierpliwym, uchwycił więc za cugle mego konia i z wielką szybkością prowadził go tak krętemi ścieszkami, że tylko dobrze wyćwiczony myśliwy mógłby ie odkryć.

Postępowaliśmy blisko przez trzy kwadranse, gdy nagle stanął Jndyanin, wystrzelił ze swoiey broni, poczem okropne wycie słyszeć się dało. Nie miałem ieszcze czasu zapytać go, dla iakiey przyczyny dał ognia, w tem nagle koń móy poskoczył w bok i na ziemię mię zrzucił. Podniósłem się szybko, a ponieważ iuż dnieć zaczęło, postrzegłem wgłębi lasu mego towarzysza wypuszczaiącego strzałę do ogromnego wilka. Srożąc się z rany ozobraney, chciał uderzyć na przeciwnika swego, lecz ten iednem uderzeniem noża *tomahawk* zwanego, a zawieszonego u pasa, którym przewiązana była iego tunika, przy nogach go swoich trupem położył. Wszystko to stało się w przeciągu nie całey minuty. Szybkość, z iaką dziki wystrzelił z swey broni, puścił strzałę i nożem wilka ugodził, podobnie mnie zdziwiła, iak przenikliwy wzrok, którym w ciemności spostrzegł wilka ukrytego w krzakach. Okazałem mu moie ztąd zadziwienie; lecz on nie zważaiąc na to, nabił znowu broń swoią, aby bydź gotowym do nowego przypadku.

Po kilku godzinach naszey podróży, dosięgliśmy nareszcie iey celu. Była to nędzna chata, indyiski *diewam*, za którym znaydowało się pole zasiane kukurydzą. Przywiązałem konia do drzewa i wszedłem za swoim przewodnikiem wewnątrz chaty. Łuki, strzały, tomahawki i t. p. wisiały wokoło po ścianach. Lecz iakże opisać zdołam trwogę moią, gdym uyrzał w tylney izbie tego nędznego mieszkania 13 głów z włosami, które, iak się zdawało, należeć musiały do osób różney płci i wieku. Jedna szczególniey zaięła moią uwagę, przez gęste i piękne z blondynowych włosów splecione warkocze. Była to zepewnie głowa młodey kochaney żony, która padła ofiarą krwi chciwego dzikiego, co teraz

)(

miał mię w mocy swoiey. Gwałtowne bicie mego serca ledwie mi piersi nie rozerwało. Odwróciłem oczy od tak przerażaiącego widoku, usiłuiąc wszelkiemi siłami ukryć moie pomieszanie.

Indyanin dał mi znak abym usiadł. W milczeniu zatrudniał się przygotowaniem posiłku, który mi ofiarował; przyiąłem go chętnie, bo mi iuż głód dokuczać począł. Myśli iednak moie były tak pomieszane, że chciałem się zapytać gospodarza mego o powody tak szczególnego ze mną postępowania, gdy nagle w te do mnie przemówił słowa: Ty iesteś białym. Napotkałem cię śpiącego, i ofiarowałem ci godło pokoiu (*Kalumet*). Biały ieden napotkał także niegdyś oyca mego bezbronnego i zamordował go we śnie. Jeszczem się w tedy nie był urodził, lecz pierwsze słowo któregom się wymawiać nauczył, było *zemsta*. Jedyną namiętnością, którą kiedyś znałem, była nienawiść przeciw Białym. Uklęknąwszy pierwszy raz na grobie oyca mego prosiłem wielkiego *Manitu*, aby mię do siebie nie powołał, dopóki nie przywdzieię na siebie krwawey sukni, w którey bym do królestwa duchów mógł bydź przyiętym. Wysłuchał mey prośby, a ia dotrzymałem przysięgi. Dorósłszy poiąłem żonę. Pokolenie *Pantherów* policzyło mię do swoich rycerzy. Chata moia leżała nad brzegiem ieziora *Ontario*. Matka moia mieszkała przy mnie. Żona powiła mi kilkoro dzieci. Wszyscy tworzyliśmy szczęśliwą rodzinę. W dniu w którym wziąłem pierwszy raz w ręce mego pierworodnego syna, spełniłem także moią ofiarę. Zabiłem iednego białego na przebłaganie ducha oycowskiego. We trzy miesiące później, dałem mu drugą ofiarę, po którey nastąpiło ieszcze więcey. Oto są ich głowy! — rzekł z dumą wskazuiąc palcem na mieysce, którego widok zgrozą mnie przeiął.

Poczem daley mówić zaczął: Takim sposobem przepędziliśmy całą zimę. Jednego wieczora, wróciwszy z polowania zastałem całą moią chatę w popiół zmienioną. Cała moia rodzina zginęła, iédyna tylko matka pozostała przy życiu. Płacząc siedziała w środku zwalisk. Spostrzegłszy ią, nie uroniłem ani iedney łzy, ale pozbierawszy szczątki moiey żony i dzieci, tak rzekłem do moiey matki: „Jesteśmy ostatni z naszego pokolenia. Póydź matko na puszczę. Samotność przystoi dla istot, co krewnych i przyiaciół nie maią.” — Opuściłem na zawsze brzegi ieziora Ontario, wziąwszy pełną garść popiołu mego mieszkania zmieszanego z popiołem żony i dzieci moich. Nim przybyłem do tego mieysca gdzie się teraz znayduiemy, odwiedziłem pierwey wielkiego woiownika *Tękum-Tch.* Miał on zamiar opuszczenia granic Kanady i udania się do *Kricków*, chcąc skłonić ich do połączenia się z Anglikami przeciw Amerykanom. Poszedłem z nim i siedziałem obok niego na zgromadzeniu wielkiey rady. Mocą swoiey wymowy otrzymał zezwolenie na woynę, którego właśnie żądał. Walczyłem przy nim. Nieprzyiaciołmi iego byli Amerykanie, moimi zaś wszyscy Biali. Z roskoszą, kąpałem się w ich krwi, a duszę moią karmiłem ich łzami. Lecz wielki ten bohater poległ przy mnie. Z nim zginęła razem nadzie-

ia połączenia rozmaitych indyiskich ludów w ieden kray, w którymby tak żyć mogły, iak żyli ich oycowie. Po śmierci Tekum-Teha porzuciłem mych braci, i wybudowałem sobie chatkę w tym lesie. Pewnego wieczora blady iakiś człowiek zapukał do drzwi moich. Był to zbłąkany strzelec. Prosił mnie o nocleg. Na widok iego przybiegła do mnie matka moia, szepnęła mi do ucha słów kilka, które taki na mnie skutek zrobiły, iak burza, która wszystko zabiera i niszczy, co tylko na drodze napotyka: obcy ten człowiek był zabóycą mego oyca. Matka poznała go na pierwsze weyrzenie. — Lecz póydź za mną, mówił daley Indyanin, dowiesz się sam o reszcie.

Indyanin podniósł się nagle, i udał się w drogę do lasu. Poszedłem za nim, nie mogąc ani słowa wymówić, rozmyślaiąc nad okropnem opowiadaniem mego gospodarza i obawiaiąc się tego, co ieszcze usłyszeć miałem. W krótce opuściliśmy ścieszkę, którąśmy szli dawniey, i weszliśmy na drogę przez gęste krzaki. Jodły, klony, wspaniałe cedry i rozmaite gatunki dębów tworzyły nad naszemi głowami nieprzeyrzane sklepienie, które nas od deszczu chroniło. Wonnościami napełnione powietrze, głęboka cisza, śpiew ptaków, żwawe skoki wiewiorek, widok tak maiestatyczney i tak spokoyney natury, złagodził pomimo moiey woli, dolegliwe uczucia, które serce moie dręczyły.

O kilkaset sążni od chaty spostrzegłem między czterema pięknemi drzewami mały pagórek, na którym leżało coś podobnego do skieletu ludzkiego. — To są szczątki moiey matki, — rzekł do mnie Indyanin, — a w tamtem naczyniu żony i dzieci moich. — Po tych słowach, postąpił daley nie spoyrzawszy ani razu na ten pomnik. Ziemia podnosiła się zwolna, usłyszałem szmer strumienia. Idąc przez kilka minut w górę, znaleźliśmy się nagle nad brzegiem przepaści, w którą strumień z wielkim wpadał łoskotem. Otaczaiąca mnie ciemność lasu, szelest wody pod moiemi nogami, szczególniey zaś widok mego dzikiego towarzysza, który iak zły duch mieysca tego stał przy mnie, wszystko to zdawało mi się przepowiadać okropny skutek tey okoliczności. Nie poymuię ieszcze teraz, iakim sposobem w owey okropney chwili, mógłem zachować moc charakteru.

Przewodnik móy obróciwszy się do mnie: to iest mieysce, — rzekł, — dokąd zabóycę oyca mego zaprowadziłem. Lękał się śmierci i błagał o litość i łaskę. Lecz miałże litość nad moim oycem? Odepchnąłem go od siebie, a krew, którą przelał, pozostawiła ieszcze na nim niezmazane ślady, które tylko w głębokościach tych wód mogły były bydź zatarte. „Póydź, mówiłem do niego, przeydźmy obadwa do krainy duchów. Oyciec móy uśmiechać się będzie do mnie, że się na tobie śmierci iego pomściłem.„ — Chciał uciec, wstrzymałem go, a uchwyciwszy przez pół rzuciłem się w tę przepaść. Zdaie mi się, że słyszę ieszcze upadek ciała iego, kiedy ia przez gałęzie tego cedru nad samą przepaścią wstrzymany zostałem W tymże samym czasie usłyszałem głos

wołaiący do mnie: „Powróć do swey chaty, nie czas ieszcze, ażebyś umierał, oyciec twóy niezupełnie ieszcze pomszczony.“— Usłuchałem tego rozkazu, a za pomącą gałęzi, dostałem się do tego mieysca, na którem się teraz znayduiemy.

Indyanin milczał, wzrok iego był grożny, zdawał się utracać przytomność na wspomnienie popełnioney przez siebie zemsty. Staliśmy ciągle nad przepaścią. Dreszcz mię przeiął pomnąc na los, iaki dla mnie dziki móy tawarzysz gotował, a który iedno słowo, iedno poruszenie moie mogłoby było przyspieszyć. Po nieiakiey przerwie, zebrałem wszystkie moie siły, i rzekłem do niego: Wiernie wypełniłeś swoią przysięgę pomszczenia się śmierci oyca na białem plemieniu, poświęciwszy zabóycę iego iako ostatnią ofiarę iego pamiątce. — Jako ostatnią ofiarę, zawołał,— a okropny entuzyazm ożywił rysy twarzy iego. — Nie, nie! Nacóżby się przydało cudowne moie ocalenie, gdyby wielki zamiar, któremu istnienie moie poświęciłem, miał iuż być uskutecznionym? Mogę ci ieszcze pięć głów białych pokazać, które to ramię od owego czasu ucięło, kiedy zabóyca oyca mego śmierć swoią tu znalazł. Lecz, mówił daley głosem uroczystym, teraz dosyć vlis[illegible]yłem. Dzień ten oglądać będzie ostatnią moią ofiarę. Od dnia wczorayszego nie utraciłem cię z oczu moich. Po dwakroć wymierzyłem broń przeciw tobie, dwa razy zabłysnął topór móy w świetle księżyca, ale nie miałem dosyć siły zabić cię; dusza nepełniona była niepoiętą żałością. W czasie snu zbliżyłem się do ciebie, a nawet wspomnienie na oyca mego nie udzieliło mi sił do zabicia ciebie. Oddaliłem się i błądziłem po lesie, rzuciłem się na ziemię i wezwałem wielkiego ducha, aby mi oznaymił, co mi czynić wypadało. W tem usłyszałem powtórnie głos, który nad przepaścią do mnie przemawiał. Co mi głos ten rozkazał, to teraz wypełnię. Póydź za mną, będziesz świadkiem mego czynu.

Poszedłem za nim. Wróciliśmy tą samą drogą do chaty. Indyanin dał mi znak abym usiadł. Uczyniłem to, nie wyrzekłszy ani słowa, z wielką iednakże obawą uważałem wszystkie poruszenia iego: Zdiął swoią suknię, a wdział inną na siebie. Zdarł potem skóry ze wszystkich głów na ścianie wiszących i u swoiey ie szyi pozawieszał. Tę, którey piękność tak mnie uderzyła, powiesił na piersiach, i okrył ią całą przecudnym iey warkoczem. Tak przybrany, wziął strzelbę, siekierę, *tomahawk*, obrócił się do mnie i rzekł: póydź, i weź z sobą skórę bawolą, na którey siedziałeś.

Poszliśmy powtórnie do lasu, Indyanin szedł z początku prędko, późniey iednak zwolniał kroku iego. Jego postawa, wszystkie iego poruszenia, były pełne powagi. Idąc nucił sobie melancholiczną pieśń w ięzyku kraiowym. Wtenczas pierwszy raz wpadłem na tę myśl, że się chce zabić! Wielki Boże! iakiż wtedy byłby los móy, w środku nieznaney pustyni! Musiałbym w niey albo z głodu umrzeć, albo też stać się łupem dzikich zwierząt i wężów. Okropne obrazy przedstawiały

się wyobraźni moiey. Drzałem ze strachu. Rozumum ledwie nie utracił.

W krótce stanęliśmy na tym wzgórku, na którym spoczywały szczątki rodziny Indyanina; tu stanął, położył swoią broń, rozpostarł skórę bawolą, położył na niey skelet swoiey matki, popiół żony i dzieci swoich, a obok tych świętych dla niego przedmiotów sam potem zaiął mieysce. Nie zapomnę nigdy spokoyności iaką okazywał w tedy we wszystkich swoich poruszeniach, i wrażenia, iakie uczyniły na mnie skóry z głów u szyi iego pozawieszane, z których się prawie ieszcze krew sączyła. Nie mógłem dłużey milczeć. Czyliż to samobóystwo,— zawołałem,— nazywasz swoią ostatnią ofiarą? Uśmiechnął się, ale nic nie odpowiedział. W imie wielkiego ducha, mówiłem daley, zabiy mnie pierwey, bo los móy po śmierci twoiey będzie dla mnie okropnieyszy, niż śmierć sama.— Nie lękay się, odpowiedział, uważay tylko na ruch listków, idź w kierunku wiatru. Teraz zaś milcz i nie przerywaay mi ostatnich moich czynności; kiedy iuż będę w krainie duchów, wtenczas owiń ciało moie w tę bawolą skórę. — Stałem nieporuszony wśród litości, boiaźni i oczekiwania tego, co ma nastąpić, a Jndyanin zdawał się bydź zupełnie spokoyny.

Po kilku minutach zaczął znów swoią pieśń żałobną, tak przytłumionym i iękliwym głosem, że oczy moie łzami się zalały. W krótce iednak przybrał ton dumnieyszy i śmielszy. Zakończył pieśń iękiem, który długo echo po lesie powtarzało. Dotąd śpiewał tylko w swoim ięzyku, rozmawiał sam z sobą, a znaczenie wyrazów mógłem tylko z twarzy iego wyczytać. Po nieiakiey przerwie, w czasie którey w głębokich, ile mi się zdawało, pogrążony był myślach, zawołał głośnym, lecz łagodnym tonem w ięzyku angielskim: Jestem ostatni z mego pokolenia. Krew płynąca w żyłach moich, iest iak mały strumień, który ginie w obszernem oceanu łonie. Był czas, kiedy miałem oyca, matkę, żonę i dzieci. Uprzedzili mnie w krainie duchów. Nie mam iuż żadnych krewnych, żadney rodziny. Plemie moie znikło z brzegów iezìora. Biali spalili moią chatę. Wyniosłem się do pustyni. Nie mógłem iuż łez wylewać. Krew bladych twarzy płynęła pod moiem toporem. Pomściłem się śmierci oyca mego Wielki Menitu iest zadowolony, wzywa mnie teraz do siebie. Nie będę podobnym do drzewa które ze starości się psuie. Jestem ostatni z mego pokolenia. Niczyia ręka, tylko moia własna, prześle mnie do krainy duchów.—Zaraz potem wziął swóy nóż, i silnie uderzył nim w piersi swoie. Krew płynęła strumieniem z głębokiey rany. Nie mógłem się dłużey patrzeć, a wypełniwszy ostatnią wolę iego, powróciłem w kierunku wiatru do *doliny morderstw*.

II.

O POCZĄTKU, WZROŚCIE, RODZAIACH I DOSKONALENIU SIĘ KOMEDYI

(Dokończenie Wyiątku.)

O Arystofanie zaś, którego iedenaście sztuk do nas doszło takie daie zdanie. „Język Arystofana tchnie nędznym szarlatanizmem, żartami naypodleyszemi i nayniesmacznieyszemi; nie iest on nawet zabawny dla pospólstwa, cierpki dla ludzi rozsądnych i uczciwych, nie można znosić iego bezczelności, trzeba się owszem brzydzić iego złośliwością.“ Platon zaś powiada: „że Gracye obrały duszę Arystofana dla założenia w niey swego mieszkania.“

Na rozstrzygnienie sprzeczności tych obu zdań muszę tu poddać pod sąd czytelnika treść niektórych iego komedyi.

POKOY

Trygeusz winiarz, siedząc na chrząszczu leci do niebios z prośbą do Jowisza, aby był przychylnieyszym dla Greków. Przybywa do Olimpu który bogowie opuścili.

Woyna olbrzym dziki i straszny osiadłszy na ich mieyscu ze swoim towarzyszem Szturmem, tłucze całe miasto greckie w moździerzu głową naywiększego woiownika wziąwszy go za nogi. Bogini pokoiu skryła się na dnie studni bardzo głębokiey, a wszystkie narody Grecyi łączą swe siły dla wyciągnienia iey ztamtąd sznurami. Potem palą się ofiary, śpiewaią na cześć iey pieśni, lecz bezskutecznie i t. d.

CHMURY

Chór iest złożony z chmur mówiących. Strepsiades zniszczony przez swego syna Fidippida idzie po radę do Sokratesa, i zaklina go na bogi, aby się mu pokazał. Sokrates pokazuie się na powietrzu w koszu, kołysze, i wrzeszczy z całey siły, że bogów niema, i że chmury są bogami, bo deszcz daią.

ŻABY

Bachus żałuiąc za Eurypidisem (który był umarł) postanowił wyrwać go z piekieł. W tym celu przybiera na się stróy i zbroię Herkulesa, ale we lwiey skórze i z maczugą niestósowną do swey ręki, staie się bardzo śmiesznym, zwłaszcza, że się wielkim okazał tchórzem. Przepływa Acheron, a żaby harmoniynem skrzeczeniem towarzyszą iego żegludze. W tey sztuce Eurypides i biedny Bachus na naywiększe wystawieni są pośmiewisko.

OSY

Bdelikleon syn Filokleona namawia swego oyca, aby spełniał urząd sędziego w swoim domu. Właśnie nawiia się proces: pies ukradł kawał sera. Pies oskarżaiący i pies oskarżony stawaią przed sędzią, oba szczekaią i mówią razem. Wchodzą małe pieski i piszczą dla poruszenia sędziego. Potem sędziowie ateńscy nagle przemienieni w osy, ścigaią Bdelikleona swemi żądłami. Filokleon na koniu upia się, i plecie naynieznośnieysze niedorzeczności.